

# MINIATURE





HUBERT CZARNOCKI

## PAMIĘTNIK PROFESORA FILIPA DURSZLAKA (FRAGMENTY)

Filip Durszlak, niesprawiedliwie zapomniany chemik-wynalca, to człowiek, którego prześladowuje pech niemal permanentny. Po tym bowiem, jak ukazały się jego wielojęzyczne dzieła zebrane, z których świat zaczął dowiadywać się o jego genialnej teorii alkoholi wtórnie destylowanych, światowe media obiegrała informacja, iż znaleziony na jakimś starym strychu pamiętnik profesora w dziewięćdziesięciu procentach uległ zniszczeniu w pożarze Muzeum Destylacji. Poniżej zamieszczamy ocalałe fragmenty pamiętnika.

*W swej krótkiej i pełnej absurdów młodości byłem wszystkim: poganiaczem mulów, koniem, na którym jechał kiedyś Napoleon, ośmiokilogramowym arbuzem, który wyrósł nielegalnie na polu pszenicy w kolchozie „Nadieżda” i nie mogąc wylegitymować się odpowiednim pozwoleniem, został skazany na dziesięć lat gulagu za pasożytnictwo społeczne i szpiegostwo przemysłowe, tatą Kazika, dziadkiem Małysza, łufą czołgu „Rudy 102”...*

*Gdy osiągnąłem szesnaście wiosen, posłano mnie do technikum kolejarskiego. Przez osiem semestrów uczyłem się na przykład, jak kasować bilety, ale mimo, że byłem pilny, to nauka ta poszła w las. Spotkałem ją kilka lat później, zbierając grzyby w Borach Tucholskich. Błąkała się głodna i wychudzona, mówiła coś o niewdzięczności i wykrzykiwała rewolucyjne hasła z epoki dzieci-kwiatów. Oczywiście kolejarzem nigdy nie zostałem. Już wtedy budziły się we mnie ambicje naukowe. Postanowiłem zdawać na studia chemiczne i w ogóle rozwijać się intelektualnie. W tamtych latach często zdarzało się, że chodziłem po rozum do głowy, lecz przeważnie nie mogłem go tam zastać.*

*Studia miały mi bardzo pracowicie. Założyłem trzy kabarety, dwie plantacje pomidorów a*

*także aż dziewiętnaście razy wyjechałem do Paszk Małych w ramach walki z analfabetyzmem i zabobonem.*

*Po ukończeniu uniwersytetu przez jakiś czas pozostawałem bez pracy. Wtedy to właśnie wystąpiłem w słynnym westernie erotycznym „Nie wierzę politykom.” Niebawem zagrałem również epizod w reklamie pasty do zębów „Colgate Watergate,” gdzie stworzyłem porywającą kreację pewnej ekscentrycznej bakterii próchnicy. W międzyczasie wydałem też swą debiutancką książkę „Ładunki jąder atomów „Vin de table”, a rozpraszanie ich cząstek alfa” (roboczy tytuł „Pije Kuba do Jakuba”), która tak intensywnie mieniła się znaczeniami, że ci, którzy ją czytali tracili wzrok.*

*Zachęcony sukcesem tego dzieła, postanowiłem poświęcić się teoriom w nim wyłożonym. Zgromadziłem wokół siebie podobnych mi*



Tomasz Sobieraj

pasjonatów. Współ z nimi założyłem Stowarzyszenie Trzeźwych Inaczej. Stowarzyszenie prężnie się rozwijało i przyjmowało nowych członków. Ja sam, wraz z najbliższymi współpracownikami, wiele lat poświęciłem na badanie zagadnienia nazwanego przeze mnie teorią alkoholi wtórnie destylowanych. Patent destylowania, jak i jego wzorzec znajdują się obecnie w Serres pod Paryżem.

Mym najbliższym asystentem, przez wszystkie te lata badań naukowych wspierającym mnie i podtrzymującym na duchu, był Wood Ka, zamerykanizowany Japończyk, prezes pewnego elitarnego klubu jachtowego. W chwilach słabości zwykł on opowiadać dzieje klanu Ka. Twierdził na przykład, że babka jego babki miała mieć romans z samym cesarzem Napoleonem, ale on akurat dostał kataru i w ostatniej chwili się rozmyślił.

Po opracowaniu wspomnianej teorii postanowiłem zająć się jej popularyzacją. Planowałem cykl pokazów, które odbyłyby się na całym świecie. Pokazy te niechybnie przyniosłyby mi wielką sławę, gdyby nie Piotrek Niepij, mój dawny kolega ze szkolnej ławy. Ów lotr, hultaj, mąciwoda i wszetecznik, a na dodatek samozwańczy profesor chemii, na łamach „Młodego Chemika” śmiało zakwestionował rewelacyjną teorię alkoholi wtórnie destylowanych i nazwał ją quasi-naukową. Wyzwany przeze mnie na pojedynek, wymówił się niecierpiącą zwłoki koniecznością posprzątania pokoju i obowiązkiem zabawy w chowanego z kolegami z bloku (podobno wcześniej im obiecał).

Jego heretyckie poglądy odparłem dzielnie w głośnej polemice „O wtórnej wtórności alkoholi alkoholowych, na Piotra Niepija zarzuty odpowiedź”, przedrukowanej później we fragmentach w wielu czasopiśmie specjalistycznych. Heretyk Niepij odpowiedział grafomańskim i

niekompetentnym, pełnym elementarnych błędów tekstem „Tralalala, co ty powiesz”.

Na skutek szkodliwej i wynikającej ze zwyczajnej zazdrości działalności Niepija, wokół mej osoby powstała zmowa milczenia i niechybnie ominął mnie Nobel. Musiało upłynąć jeszcze wiele lat, zanim poczęto choć trochę doceniać mój ogromny wkład w dorobek myśli ludzkiej. Pewnym tego znakiem była powieść dydaktyczna „Stefan Poprawniak nie przespał okazji II”, która się wówczas ukazała. Bohaterem owego dziełka byłem ja sam, ale przez skromność kazałem zmienić imię i nazwisko.

Obecnie jestem w trakcie pisania utworu zamykającego cykl przygód Poprawniaka noszącego tytuł „Stefan Poprawniak. Ostatnie starcie”. W dziele tym sam w pojedynkę rozprawiam się z inwazją kosmitów na naszą planetę. Walczę dzielnie, przepędzam ich gdzie pieprz rośnie (chyba w Argentynie?), przewracam się ze zmęczenia, a potem żyję długo i szczęśliwie. Oczywiście nie żyję sam, tylko ze słynną fotomodelką Hermenegildą Durnowatą-Potocką oraz ukochanym perskim chomikiem znanym w niektórych kręgach jako Billy Wściekła Szczeka.

Poza wydawaniem wiekopomnych powieści, czas zajmują mi nadal bardzo żmudne doświadczenia i publikacje ich efektów wszystko to niewątpliwie zapisze mnie złotymi głoskami na kartach Historii. Nie mogę się już tego doczekać. Sławo przybywaj! Wczoraj w nocy śnił mi się mój pomnik.





EWA KACZMARCZYK

\*\*\*

Spacerowaliśmy  
wśród łąki i nocy,

Pachniałam Tobą,  
A ty mną  
miłością i rosą.  
Księżyc zanurzył się  
we mnie wraz z Tobą,  
Gwiazdy spadały  
prosto na nasze dłonie.  
Wiatr otulił w ciepły płaszcz  
Słyszałam oddech Twój  
a Ty mój  
świerszcze i drzewa.  
błyszczące kosmyki włosów i trawy  
Spadały co chwilę miękko na ramiona  
nasze  
Nagle szmer kroków,  
ciekawskie spojrzenie,  
z góry  
Odkryły gwiazdy złote  
to nasz spacer

### Skrawek nieba

Dostałeś w prezencie  
Uniesione dłonie  
Wzrok wpatrzony w ciebie  
Skrawek nieba  
Ja i ty  
Dłonie nasze splecione  
Rozmowy słyszane  
Zabrałeś do siebie  
Zatopione w rozlanej wodzie  
Morzu marzeń wspomnień  
Skrawek nieba  
Zatopiony w tobie  
Wiatr powiewa we włosy  
Ach tak blisko siebie  
Otuleni twą obecnością  
Wysłuchani szeptów słów  
Niesionych z wiatrem



AGNIESZKA PAŁKA

## NIESPOSÓB NA WSZYSTKIE BOLĄCZKI

Hmmm... Pewnego dnia obudziłam się i zda-  
wało mi się, że jestem tabletką przeciw-  
bólową. Okrągłą pigułką na wszelkie  
bólączki. No może część. Ale sporo. Nic  
podobnego!

Tabletka, proszę państwa, wbrew wszelkim  
pozorom, prostego życia nie ma. Bynaj-  
mniej. Strasznie długa i kręta zazwyczaj  
przed nią droga. I skąd, u licha, ma wie-  
dzieć, co komu dolega?! Bo któż w końcu

bierze tabletkę na ból języka, co by,  
biedaczynie, nieco życie ułatwić? Jeśli  
zdarzy się komuś zbyt długo i namiętnie  
kłapać dziobem, to Nurofen (względnie  
Apar, Ibuprom, czy inne chemiczne  
świństwo) jest ostatnią skuteczną rzeczą,  
jaką takiemu gadatliwemu jegomościowi  
możemy zaaplikować. No, ale my tu gadu  
gadu...



Skoro już tabletką w jakiś tam, czy inny sposób zostałam, to pierwszy punkt stanowi wspomniana jama ustna. Cóż może boleć w jamie ustnej? Ząb. Zazwyczaj mądrości. Dentystą nie jestem, nie znam się, więc dajmy spokój. Proponuję wyrwać. Wspomniany język. Może niekoniecznie mielącego nim bez opamiętania. Jednak beznamiętne obrazy poprawnej polszczyzny, tudzież obarczone nadmiarem ekspresji wyrazu inwektywy, których przytaczać zgoła nie wypada, stanowią źródło nieprzemóżonego cierpienia dla każdego, względnie normalnego ucha człowieka cywilizowanego. Co poniektórzy woleliby zapewne ogłuchnąć na wieki, niż karmić się podobnymi frazami. No, niestety, pieczęta *nieuleczalne*.

Gdzieś tam po drodze w dół mijam płuca. Oby nie jakiegoś nałogowego palacza tytoniu, obojętne, czy w postaci papierosów, czy fajki (choć fajka ponoć zdrowsza). W każdym razie widok tak czy owak przykry i niemiłosiernie cuchnie. Nie, oczywiście, że nie z płuc. Z otworu gębowego wyżej wspomnianego osobnika. Odnośnie bolączek. Płuca, jak z mojej skromnej wiedzy w tej dziedzinie wynika, służą do oddychania. Dostaje się do nich całe fruujące sobie beztrosko w powietrzu paskudztwo. Spaliny (niech sobie ktoś posiedzi przy rurze wydechowej własnego samochodu, proszę bardzo choć nie polecam), dym z naszego własnego (no, nie tylko, rzecz jasna) komina, nawet lakier do włosów żony mężowie z reguły nie używają. Ile tego wszystkiego razem do człowieka nawlatuje, to ludzkie pojęcie przechodzi. *Nieuleczalne*.

Pi razy oko na wysokości płuc ponoć znajduje się serce. U badanego osobnika na szczęście obecność stwierdzono. Stan matrymonialny pacjenta obchodzi mnie w stopniu minimalnym, żeby bezdusznie nie powiedzieć żadnym. Kolor serca nie wpływa zbyt na jego walory. Twardość również. Sercu jednak, jako narządowi szczególnemu (i najczęściej po wątrobie cierpiącemu, z racji przy-

zwyczajów żywieniowych - wątroba!), przypisywana jest ciekawa własność. A mianowicie umiejętność kochania. No i oto otwierają się podwoje kolejnej fali problemów. Ech, jakiś strasznie chorowity ten człowiek. Bo skoro serce umie kochać, to umie też nie kochać. Rzecz zwykła i naturalna. Nieco może zbyt naturalna. Dziwaczni ludzie obdarzeni nadmiarem uczuć. Groteskowi zakochani. Komiczni rodzice pochyleni nad niezdatnym szkrabem. I zazdrośni palanci, którym do szczęścia potrzebny jest jedynie czubek własnego nosa. Ot co! I na tym skrócie myślowym litościwie poprzestańmy. Definitywnie *nieuleczalne*.

Na chwilę przed doszczętnym strawieniem trafiam do wielkiej jamy niedźwiedzia, który zebrał zapasy na jakieś 10 lat snu. A to spioch, rany boskie! No to co mieliśmy dzisiaj na obiadek? Mhm... kartofelki były. I kotlecik, a jakże, dobrze wysmażony. Zastanawiam się tylko, po co ten niedźwiedź ma tyle spać. I właściwie, dlaczego nie hodować tu wilka? Wilki nie zasypiają na zimę, więc nie gromadzą zapasów. Bardzo wiele jam zamieszkują właśnie wilki. Jamy są puste, niemiłosiernie same przez się trawione i zżerane kwasem żołądkowym. Przez wiele dni. Cóż, tabletką to nie naistek. *Nieuleczalne*.

Protokół: Ludzkie bolączki są nieuleczalne, gdyż: co uleczalne, to nieludzkie, co ludzkie to zakaźne, zaś na jedno i drugie parafarmaceutyki pozostają tylko para. Życzę powodzenia wszystkim współczesnym farmaceutom. Do dzieła! Mózg z przypisywanym mu społecznym intelektem został pracowicie pominięty. Jest po prostu nie po drodze.





MAREK BRAND

## OGRYZEK Z SĘPIM NOSEM

### Wieczorem

Tego wieczora Ogryzek z Sępim Nosem postanowił nie opuszczać domu. – A co ja będę laził po lesie. Poczytam sobie.

Trzeba przyznać, że kiedy Ogryzek sobie coś ubzdura, to nie ma takiej siły, która odwołałaby go od raz postanowionego postanowienia. Włożył okulary i wziął najświeższą prasę. Wymienimy ją dla celów archiwalnych. A więc – instrukcja obsługi kotła gazowego, opis działania splotki łazienkowej, stary zeszyt do pierwszej klasy, dzienniczek ucznia niejakiej Oli Kwiatkowskiej, mandat, który opiewał na 20 złotych, a ukarano nim jakiegoś Kapustę. Mandat składał się z trzech kawałków, na których widniało: „Zatrzymanie nogów w butach...”.

– Zatrzymanie nogów w butach, ciekawe – mruknął pod nosem Ogryzek. – Toż to cała akcja musiała być.

Ogryzek rozwinął mandat i przeczytał papier.  
– Zatrzymanie nogów w butach na ławce ukarano Jana Kapustę mandatem karnym w wys. 20 zł. Tu podpis: sierżant Kawka, posterunek milicji kolejowej w Grabiku 1983.

– Hm... może to jakiś krewny Wrony. Ogryzek sięgnął po następny periodyk (opakowanie po prezerwatywach), kiedy rozległo się nieśmiało pukanie w okienko.

– Kto tam? – spytał Ogryzek (rzecz jasna nieśmiało).

– To ja – odpowiedział mu cichy głosik.

– Aha – pokiwał Ogryzek głową.

– No – potwierdził głosik.

– Dzisiaj nie mam – powiedział Ogryzek.

– No, tak – głosik posmutniał – to może jutro?

– Może.

– To dobranoc – powiedział głosik.

– Dobranoc głosiku.

Ogryzek pokiwał głową. I zgasił lampkę nocną.

– Dobranoc lampko.

– Dobranoc Ogryzku – odpowiedziała lampka.

– Niewątpliwie był to prorok Eliasz – powiedział Reb Apelman, wysłuchawszy opowieści Ogryzka.

– Z takim cichutkim głosikiem? – nie wierzyła Wrona.

– Może był zaziębiony, wiecie... jesień.

– To ja już wiem – To on przyszedł po aspirynę – rzekł Ogryzek

– Można to tak powiedzieć.

Od tego czasu Ogryzek zawsze ma w domu popularne tabletki.

### Kamyczek

Tego dnia ogryzek z Sępim Nosem wybrał się w odwiedzin do Rabina Apelmana. Miała to być wizyta kurtuazyjna. A właściwie rewizyta. Ogryzek założył swoją ulubioną czapeczkę w kratkę, zarzucił szalik i ruszył ochoczo na spotkanie z mędrce. Aby sobie skrócić drogę, ruszył na przełaj przez łąkę. Kiedy był w połowie drogi tuż przed rowem melioracyjnym, zauważył Wronę siedzącą na brzegu.

– Co słychać?

– Ach – westchnęła smutno Wrona.

– Takie „Ach” to nic dobrego.

– Właśnie.

– Właśnie co?

– Właśnie przeżywam rozstanie...

– Rozstanie. A z kim?

– Z moim skarbem.

– Wrona zlituj się. Mów.

– Wczoraj znalazłam skarb. Taki śliczny po-dłużny kamyczek. Całą noc do niego mó-wiłam, a on słuchał uważnie, kiwał kwar-cem. Wyszliśmy dzisiaj na spacer i wiesz, było tak pięknie. Właśnie szliśmy nad ro-wem, kiedy pokazywałam mu tęczę i on wpadł do wody. A ja taka samotna. Próbo-wałam go wydziobać ale nie bardzo wiem gdzie.

– Słuchaj Wrona ty tu postój, a ja pobiegnę do Rebe-go. On pomoże.

Po kilku minutach Ogryzek zdyszany wrócił.

– No i...

– Rebe powiedział, że u kamyków to normalne. Zawsze na zimę chowają się do wody.

– Już go nie zobaczę?

– Musisz oznaczyć miejsce wpadu. Bo jak

powiedział Rebe: „Kamyki na wiosnę wypływają”.

### Zwiastowanie albo zaginiony pług

Pewnego zimowego poranka Ogryzek postanowił odwiedzić Reb Apelmana. Ubrał się ciepłutko i wyrzął przez okienko. Śnieg padał dużymi płatami. – No tak, to już trzy dni tak pada, pewnie leśne dróżki zostały zasypane – pomyślał. Otworzył drzwi i jego zdumionym oczom pokazał się widok, jakiego nie widział, od czasu kiedy pojawił się w lesie. Droga na całej szerokości była równiutko odśnieżona i posypana piaskiem.

- Cud, najprawdziwszy cud – mówił do siebie Ogryzek – Ciekawe co powie Rebe?
- A co ja mogę powiedzieć. Najpewniej przyjdzie Mesjasz. – To ja zrobię ciasto ze śliwkami – powiedziała Wrona.
- A ja herbatkę. Zawsze dobrze jest wypić coś ciepłego w taki ziąb. – podchwycił Ogryzek.
- Owszem, można by zaprosić Mesjasza na herbatkę i ciasto, gdyby nie to, że jemu się strasznie śpieszy.
- A gdzie on tak gna? – spytała Wrona.

- On wypełnia Boskie posłanie. A teraz musicie iść i przygotować się do Sądu Ostatecznego. A ja będę się modlił za cały las.
- Muszę znaleźć coś eleganckiego w szafie, w końcu nie codziennie idzie się do sądu – powiedziała Wrona i odrunęła. Ogryzek został sam. W drodze do domu zobaczył śnieżny pług. W szoferce siedział kierowca z długą siwą brodą i studiował mapę. Kiedy zobaczył Ogryzka; powiedział:
- Te mały, któreśy do miasta, zdaje się, że zabłądziłem. Od trzech godzin jeżdżę w tę i nazad po lesie.
- Do miasta? To będzie tam – pokazał Ogryzek.
- Fajny jesteś. Pogadałbym z tobą dłużej, ale wiesz śpieszę się. Jeszcze mnie ktoś posądzi, że specjalnie nie odśnieżamy. Kiedy pług odjechał, Ogryzek wrócił do Rabina. – Niech się Rebe nie przejmuję, chyba pan Mesjasz zmienił robotę i teraz pracuje w służbach porządkowych.
- Koniec świata – powiedział Rabin.
- Jeszcze nie – zabrzmiał głos z góry – będzie jak wszystko odśnieżymy!







MARCIN DYDYŃA

## do Ciebie

*Agacie*

Twój cień odgadnę z zamkniętymi  
oczami  
obecność rozpoznam w porywach  
powietrza  
wyczuję smutek oddalony o wieki  
a cisza będzie moim drogowskazem

Twój szczęśliwy uśmiech ukryję  
głęboko  
by go przechować na czarne godziny  
kiedy ciemnieje i deszcz stuka w szyby  
gdy jeszcze bardziej doskwiera  
samotność

## wędrowiec

z dwóch ścieżek wybieram tą  
która prowadzi do siebie

bagaż cięży jak wspomnienia  
krok wstecz  
dwa kroki do przodu  
oby tylko  
nie zgubić się podczas drogi

## anioły

widzę je w otwartych oczach  
słowach życzliwych  
w chłopcu co ustąpił miejsca  
w podmiejskim autobusie

w wierszu  
rysunku figurce

nie zamieszkują nieba

wiele aniołów  
nie zostało jeszcze przebudzonych  
sypiają spokojnie  
nieświadome



EWA KRUCHOWSKA

## TY-RAN-JA\*

*Znów jesteś chwilo, w której przestrzeń rozrasta się, a płuca wypełniają zielonym powietrzem. Na skraju upojenia, chwiejnym krokiem, spaceruję pomiędzy jawą a snem zawieszona w pajęczej sieci myśli centymetry nad ziemią. Rzeczywistość rozpięta na sztalugach wyobraźni zaba(r)wia się tęczą domysłów. Ugina się, pod muśnięciem mych palców, czas. Idę wibrującą ziemią dotykając stóp, gubiąc liście spojrzeń, chwytając w dłonie puszystość dźwięków. Bo Ty... Bo Ty jesteś... Bo Ty byłeś...wspomnieniem, pyłkiem w oku, drażnisz moje zmysły...*

– tracę ostrość wyrazu –

...po

tykam się o krawędź jednej z  
czulszych myśli

i już po chwili

s	ę	strzepując z czoła pył gwiazd, które
	i	słupem soli
p	s	stanęły mi w oczach.
		Z determinacją ścieram z ust
a	ę	wodoodporność uśmiechu.
	z	Wstaję.
d	s	Stoję.
	o	Idę, wbijając się w ziemię stałą
a	n	kroków, stałą spojrzenia przecinając
	d	rzeczywistość, z pasją nacinając
m	o	naskórek świadomości stalowym
	p	ostrzem decybeli...

wprost w obojętność negacji.

Odcinam się.

\* Grand Prix 1 edycji turnieju literackiego Chichot Chimery (2007).

Tak co dnia, cododnia. Metronom skrajności rozpędzonym wahadłem to w jedną to w drugą stronę, wychylając się, rytm rozdzierającym amplitudom myśli w(y)bija.

Z głowy-

-do głowy

Ja, balansując na granicy (o)błądu myślę wciąż kroki, od siebie do siebie - maska-rada się toczy, po(d)-ziemi. Dekoracje

r

o

z

p

a

d

a

j

ą

s

i

ę,



p---ę---k---a (p--o--d) s--z--e--w--(k--a)

r z e c z y w i s t o ś c i

Naprzeciw Ciebie, naprzeciw siebie, sobie i Tobie przeciw – w lustrzanym mynazrtsul labiryncie eicnyribal iluzji ijzuli, pod powiekami kalejdoskopu przeszłości i przyszłości pękają szkiełka.

świat wiruje szaleńczo, coraz szybciej i szybciej, pod powiekami kalejdoskopu przeszłości i przyszłości pękają szkiełka

NAGLE  
 WSZYSTKO USTAJE  
 CICHNIE  
 ZACIEMNIA SIĘ  
 ŚCIEMNIA SIĘ  
 CIEMNIEJE  
 MNIEJE  
 MNIE MNIE  
 JE MNIE  
 AŻ MNIEJ MNIE  
 M(N)IEJ MNIE

...





ADAM CZAJCZYK

## TOROWISKO

Parowe pociągi. Smoczydła na węgiel i wodę. Na dworcu w Niedrzwicy siedzi się w zgodzie z własnymi myślami. Jest tutaj peron, nasypy pomiędzy torami, drewniane ławeczki, których szczelki, niczym szczelki drabiny marzeń, pną się ku niebu. Od czasu do czasu na stację wtacza się z wolna ten uskrzydłony parowy anioł, za którym jak wąż ciągnie się ogon wagonów. Pucółowaty kilkulatek kurczowo trzyma za rękę dziadka, pilnując, by się nie znaleźć w pobliżu pociągu, nim czarny potwór nie przetoczy się z sykiem i zgrzytem po torze, nim stanie cicho i grzecznie w bezpiecznej odległości. Potem jest jeszcze nagła konieczność, by wyleźć na górny pokład wagonu, skąd w czasie jazdy można z coraz to nową pasją oglądać te dzikie widoki za oknem nieobkosszone pola, liściasty las, gęsty jak broda ojca, i dalej drogę w oddali, skrawek jeziora, wreszcie malutkie domki ogródków działkowych, stalowy most i miasto wielkie i obce, a jednocześnie swoje.

Na dworcu w Niedrzwicy dwóch małych chłopców buduje bunkier z piachu i krzaków. Siedzi się weń za zasłoną liści czyhając na przejeżdżające pociągi. Wtem strumień rozkazów, meldunków, strategii płynie przez rurę komunikacyjną to nowatorski sposób zużycia tubek po toaletowym papierze i już w żółtozielony elektrowóz sypie się grad piaskowych granatów. Chłopcy są sprytni, więc atakują jedynie pociągi pospieszne, które nie zatrzymują się tutaj, a tylko zwalniają na chwilę, jak gdyby bały się wrodzonego braku delikatności. Zimą jest lepiej. Zimą w stalowe olbrzymy lecą śnieżne piguły. Czasami maszynista pogrozi pięścią zza osmalonej szyby, ale nigdy jeszcze nikomu nic się nie stało.

Na dworcu, gdzie nic się nie dzieje, dla czystej rozrywki dziurkuje się czasem użyte bilety. Taki kartonik z brunatnego papieru ma z jednej strony maszynowy napis. Ciągi bladło wybitych użytych czcionką liter składają się w opis trasy, cenę i naj-



Joanna Bukowska

ważniejszą część wartość zniżki. Tak można wysledzić podróże dziadka, bo chyba tylko on jeden, były kolejarz, kupuje bilety za marne dwadzieścia procent ceny. No więc dziurkuje się te bilety i wkłada w zęby specjalnej szafy. Ta szafa

zawsze kojarzy się z jakąś wspaniałą maszyną szyfrową, szpiegowską, lub Straszny Zzeraczem Biletów.

Kiedy się trochę podrośnie, można przyjechać rowerem. Wtedy Pan Marek wysiadzie z nosatej krowy, zwącej się dumnie i niebezzasadnie lokomotywą przetokową, obejrzy uważnie te piękne dwa kółka, zawyrokuje ze znanstwem „rama od jaguara”, i człowiek staje się ważny, ważniejszy od wszystkich kolegów z podwórka. Pan Marek powiedział „jaguar” i teraz nikt już się nie odważy zaprzeczyć, nikt się nie będzie wyśmiewał ze skórzanego wąskiego siodełka, z obciążonego czarną taśmą baranka z nabitymi zamiast gumowych zakończeń gilzami od dubeltówki. A przede wszystkim nareszcie docenią jedyny na świecie system oświetlenia z dwóch lamp, masy kabli i wspaniałego pojemnika na baterie, zbudowanego na bazie żółtego piórnika w kształcie ołówka. Ten system ma mnóstwo zalet, a najważniejsze jest to, że żaden paskudny bączek, zwany czasami dynamem, nie stawia już nigdy oporu przy jeździe pod górkę. Jeździ się z tym systemem przez lato całe, aż wreszcie ojciec, który ma za złe konstruktorowi dziadkowi, że mocowanie zniszczyło lakier, kategorycznie zabroni. A przecież coś znaczy ta odrobinka czerwonej farby wobec najlepszych na świecie świateł... Ale nie ma się nic do gadania.

Po ekspertyzie Pan Marek zaprasza do swojej pracowni - niedużej, pachnącej prądem i spalinami kabiny. Tutaj powoli człowiek staje się znawcą kolejarstwa, a z czasem wręcz maszynistą wyborowym. Po paru dniach wie się już dokładnie do czego służą kolejne zegary, guziki, gdzie gaz i hamulec, aż wreszcie jedzie się aż do Zemborzyc bez żadnej pomocy i podpowiedzi. A nawet wagony się ciągnie ze dwa!

Za dworcem jest rampa towarowa. Tu zwykle stoją rzędy kontenerowców z węglem, a w dni robocze nawet unika się przejeżdżania rowerem, bo ciężarówki wielkie i głośne kurzą i straszą wszystkich chłopaków małych i dużych. Chyba tylko tych największych nie, ale oni i tak się niczego nie boją, z tymi swoimi łapami jak bochny

chleba od łopat, od kos i od bójek, i z tymi nosami jak śliwki węgierki małe chłopaki nie wiedzą od czego... Przy rampie kiedyś lokomotywa wypada z toru. Małe chłopaki stoją i gapią się jak robotnicy w żółtych kombinezonach montują nowe podkłady, skręcają szyny, by wreszcie wprowadzić maszynę znów na trasę. Kierowca jest przeżony. Małe chłopaki pierwszy raz w życiu widzą jak ktoś dorosły się boi.

Do dworca biegnie ulica Kolejowa. Jest na niej most, pod którym płynie Nędznica. W rzece znajduje się różne różności, na przykład szkielet kurczaka, łeb świni, albo kamyczki zielone jak szczęście. Zaraz za mostem rośnie niewielka buda z brudno-pomarańczowej dytki. Tu co niedziela przychodzi się z ojcem na piwo. Przeważnie w kuflach jest więcej piany niż piwa, ale to nie przeszkadza tym wszystkim dorosłym, wąsatym facetom, którzy zdają się tutaj stanowić jakąś tajemną wspólnotę, bractwo związane poczuciem mocy i wolności, podczas gdy matki, żony i kochanki zostają w domach pichcąc obiady.

Parę lat później w tej budzie nie ma już piwa, są za to lody. Zawsze na koniec roku uczniowie z czerwonym paskiem na świadectwie dostają całe trzy gałki za darmo! Jeszcze dalej jest młyn, przez lata tak tajemniczy i groźny, jak burza wiosenna i straszny ropuch z *O czym szumią wierzby*. Gdy jest się nieco większym chłopakiem i burza przestaje przerażać, i młyn. Zwiedza się go dokładnie, goni się mysz, wybiela się siebie całego od stóp do głów mąką. Jedyne ropuch straszy do dziś.

Na dworcu w Niedrzwicy nic się nie zmienia przez lata. Tylko chłopaki już nie te same. Rośnie się i dojrzewa. Więcej wyjeżdża niż wraca. Puciołowaty parolątek zaciekawiony goni hamujący pociąg. Ogląda się za zmęczonym dziadkiem, który zostaje w tyle. Ale to nic strasznego, wiadomo przecież, że będzie się w górnej części wagonu, żeby oglądać uciekający krajobraz...





MALGORZATA KOLKIEWICZ

\*\*\*

czekam na takie spojrzenie.  
na taki uśmiech.  
na rękę podaną w ten sposób.  
na takie "witaj".  
czekam na wodę z cytryną i miodem lipowym.  
właśnie taką.  
i właśnie taki chleb z solą i masłem.  
zwyczajny.  
takie pierogi ruskie.  
normalne, a jednak niebanalnie smaczne.  
na sok malinowy domowej roboty.  
z posmakiem ogrodowej antonówki.  
czekam na pochwałę.  
na upomnienie.  
na pocieszenie.  
na słowo dobre.  
albo nawet bardzo złe.  
na cokolwiek.  
ale czekać mogę bez końca.  
ale nie doczekam się nigdy.  
bo nie ma nikogo, kto by tak potrafił.  
i nie płaczę dlatego, że jestem zrozpaczona.  
tylko przez to, że tak cholernie tęsknię.  
powiedz tylko... wiesz o tym?  
wiesz, że kocham najmocniej.  
i nie tylko oczy chciałabym mieć duże i zaciekawione jak Ty...  
i zazdrościć Twojemu Panu, że miał mógł.  
że miał okazję cieszyć się obecnością przez 42 lata i 3 miesiące.



KRYSZYNA KARWAT

## TRYPTYK Z KOSA\*

### 1. Istnieć

Pod kopułą nocy sennie szumi morze, śpi ławica plaży, a gwiazdy jak tańczące płomyki ognia migocą, chwieją się i kołyszą. Zaklęty, zaczarowany krąg...

Chwytam świat w ramiona, porywam w szalony taniec. Wiruję lekko, płynnie, rytmicznie. Muzyka niesie jak na skrzydłach. Owładnięta mocą dźwięków unoszę się ponad taneczny krąg - skocznie, szybko, na zatracenie. Dotykam gwiazd, otulam chłodnym blaskiem księżycy, zataczam krąg po kręgu i spadam na morską falę. Wyłaniam się z niej jak Wenus nieśmiertelna. I tańczę, tańczę w objęciu żywiołu.

Toczy się woda, płynie życie...

- Eklezjasto, mówiłeś: „Marność (...)”, a tu pełnia szczęśliwej, roztańczonej godziny.

Wtem wionęło przejmującym chłodem.

Słoszony sen. Puste objęcia, śmiertelna dłoń, która porywa w galopujący wir. Oko w oko idę teraz w tany ze śmiercią, mocuję się z nią, ale krok w krok pędzi za mną, nieublaganie.

Wzrokiem pełnym życia ciskam gromy.

- Eklezjasto, ratuj!

Z głową uniesioną ku niebiosom dźwigam się.

- Oto jestem! - przenikliwy krzyk niesie się poprzez morską głębinę.

- Istnieję! Przemijam. Pojawiłam się na chwilę i nie oddam jej nawet za cenę raj.

Przejmująca muzyka morza. Dotyk łagodnej fali.

- Istnieję!

### 2. Bogini

Brzeg morza najeżony dzikimi skałami wyłania się powoli z szarego świtu. Jeszcze nocne mgiełki unoszą się nad bezkresem wód, a już z linii dalekiego horyzontu wynurzają się rozstrzelone promienie wschodzącego słońca. Płomień zorzy rośnie, rośnie, okrągłe i rozpala morze

pomarańczowym blaskiem. Potem wody z wolna niebiescieją, rosną pierwsze migocące fale, zaczynają lśnić roztrzępotane skrzydła mew. Dotknięte ciepłem kwiaty lotosu rozchylają wonne płatki i prężą duże, na kształt tarczy - liście.

Stoję na szczycie pierworodnej skały i ogarniam zmysłami boski bezmiar żywiołu. Przymykam oczy, stapiam się z niepojętym ogromem.

Nieoczekiwanie w szumie fal dziwne rytmy.

Wionęło. Rozgorzało... Piasek pod stopami. Spojrzenie chwyta zdumiewające senne zjawisko. Na szkarłacie lotosowego tronu, spowita czystością bieli, w złotym kołpaku na głowie - Bogini o tysiącu rąk! Przez jej twarz przelatuje płomień, martwe oczy pobłyskują jak gwiazdy. Kształtna postać wiję się jak wąż, gnie, przegina.

Modlitewny gest złączonych na piersiach dłoni.

Tuż za Boginią w dziwnej światłości czyjaś twarz. Ciepłe spojrzenie bliskich oczu i uśmiech... Wyrywam się na spotkanie ze szczęściem - daremnie. Bogini bucha żarem płomienistych języków ognia. Przedzieram się przez nie, ale dostępu bronią niezliczone ręce.

- Ja muszę!

- Nie!

Nagły skurcz serca, łomot i mój krzyk.

...Budzę się. Niecierpliwym wzrokiem szukam, szukam.

Jest! Posążek Bogini znowu stoi nieporuszenie

### 3. Danse macabre

Przeciągły, ostry dźwięk karetki pogotowia dociera do uszu, atakuje mózg. Galopujące serce, ból rozsadzający wnętrze, krzyk zastygły na zbiegających wargach. Myśl z trudem przedziera się, przybiera kształt ni to skargi, ni to refleksji: „To już koniec!” Przez głowę przelatują obrazy - okruchy życia.

\* Wyróżnienie w 1 edycji turnieju literackiego Chichot Chimery (2007).



Czyjeś bliskie oczy, zamglony portret matki, twarze dzieci, jakiś pejzaż niezapomniany i wszystko, czego nie zdążyło się zrealizować. Więc to już, tak nagle, niespodziewanie, tak zdradziecko? Żal utrudnia oddech. Pod zamkniętymi powiekami ciągle przetaczają się obrazy życia, od których przyjdzie odwyknąć.

- Panie, nie zabieraj mi blasku słońca, srebra gwiazd i księżyca, pozwól trwać jeszcze chwilę w zachwycie nad urodą świata, niezwykłością człowieka, który istnieje, żyje po to, by tworzyć, budować, kochać
- Panie, pozwól przemierzyć ciemną dolinę bezpiecznie, ujrzeć światło...

Duszno, rwie się oddech. Daremnie próbuję mocować się ze słabością. Jak w średnio-wiecznym tańcu śmierci cień z kosą rozpościera nade mną skrzydła, zaglądam w nielitościwe oczy, próbuję wyrwać się ze śmiertelnych szponów, które porywają do

szalonej galopady. Czy blade jak chusta oblicze należy do mnie, czy do nieodwołalnej zjawy?

- Ratunku! Pomocy! - z trudem wydobyty głos. Nade mną białe fartuchy. Zapadam się w dziwny mrok...
- Nagle wyrывa mnie z niego głos pełen słodyczy:
- Za chwilę będzie lżej, ból minie.

Czyjaś dłoń na mojej ręce. Z trudem rozwieram powieki, chcę zobaczyć. Gdzie jestem? Czy to twarz matejkowskiego Anioła grającego na cytrze?...

Młody lekarz - odtąd z przydomkiem „Anioł”. Istnieje. Żyje...





MARIUSZ KARGUL

## GROOM-BROOM,

## CZYLI KOŃCA ŚWIATA W KRASNYMSTAWIE PRÓBA PIERWSZA

Gród poddał się w końcu wieczorową porą. Kominy i dachy nasunęły na siebie czapę ze snów i z cichym posapywaniem oddały kontemplacji wydarzeń z dnia miniego i pokonywaniu progów niewiary. Ludziom wydawało się, że układają się teraz do spania, a to przedmioty tak naprawdę wkraczały w kolejny etap zmęczenia materiału. Miotła stróża nocnego Hermana z drzeniem startych brzoźowych witek poczęła tęsknić za porannym uściskiem zgrabiących dłoni pana, a kapcie babci Rozalii mogły wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem. Tak, miasto definitywnie wkraczało w krainę snu. Nie mogły tego zmienić ani wściekle intensywne reflektory drogich terenowych aut, ani tym bardziej fosforyzujące ekrany aparatów młodocianej populacji użytkowników telefonii komórkowej. Nikt tak do końca też nie zbażał, kiedy najlepiej opada się liściom z drzew – w ciągu dnia, czy nocą? Wypada snuć przypuszczenia, iż chyba jednak nocą, bowiem wtedy łatwiej przychodzi im ogałać rodzinne konary i pnie z resztek złudzeń. Ludzie wstają rano, pospiesznie zdążają do pracy, do szkoły albo donikąd, i myślą: o gołe drzewo, zima idzie! A tu wcale żadna zima nie idzie,

tylko efekt cieplarniany zamienia wszystko w globalną mikrofalówkę. Jakoś dziwnie tej doby nie mógł usnąć tylko Spirydion Rosenkranz. Nie mógł, bo jego ciało dotknęła, szalejąca w owym czasie po całej okolicy, epidemia dekapitacji. Mieszkanie na Kocie przypominało rzymskie Koloseum z okresu największego prześladowania chrześcijan. Głowa bezradnie spoczywała w rondlu na rosół, nogi przemierzały przedpokój w różnych kierunkach, ręce kartkowały nerwowo kolejne strony świerszczyka, a tułów turlał się po dużym pokoju. Tylko oczy, przyklejone do szyby balkonowej, wypatrywały, jak zwykle o tej porze, światła w jednym z mieszkań sąsiedniego bloku. O tym, co robiły i gdzie się poniewierały genitalia, kroniki milczą. Na ten czas uchyliły się drzwi do mieszkania i dało się słyszeć szyderczy komentarz Dobrogniewy Zdziaślej (życzliwej sąsiadki):

– No tak, u Rosenkranzów znowu bal wszystkich świętych, bo zupa była za słona...

A po chwili warknęła wściekle: – Daimonion! Ty świnię parchata, wracaj szybko do nogi!

To było do jej psa, który znalazł akurat w pawlaczu lewe jądro ciemności sąsiada. Równoległe, na pobliskiej stacji benzynowej, monsieur Gwidon przeczytał następującej treści komunikat: „Kierowco! Zachowaj bezpieczną odległość 5 metrów sześciennych od tankowanego pojazdu”. W tej samej chwili, zarówno on, jak i jego samochód, rozpięzchli się w pyłowej chmurze atomów, wypełniając dokładnie żadaną przestrzeń. I wtedy noc, która wcale nie była nocą, tylko dniem z przepaską na oczach, osiadła delikatnym puchem na teleskopie miejscowego astronoma.



Łukasz Szymański

## Krzyże na wzgórzu

I śpią w tych grobach umęczeni rycerze starej  
dobrej Europy. Bóg tylko jeden wie, który z  
nich tak naprawdę walczył za kaizera, ce-  
sarza, cara. Prawdopodobnie chodziło je-  
dnak o to, by móc jak najszybciej zawitać  
do domu. W tym celu trzeba było prze-  
walić się jak taran po ciałach wrogów  
pokonanych. Sęk w tym, że wrogowie też  
chcieli zrobić to samo, a wszyscy wrócić  
szczęśliwie z tarczami przecież nie mogli!

Po jednej stronie komenda niemiecka, po  
drugiej rosyjska, a w środku tygiel naro-  
dów, istna militarna wieża Babel. Szra-  
pnelom było co prawda obojętne, czy rwał  
w kawaly ciała nacji germańskiej, sło-  
wiańskiej, madziarskiej albo semickiej. Nie  
istniała żadna gwarancja na to, że jeśli masz  
niemiecką głowę, rosyjską duszę i polskie  
serce, to ujdiesz z tej opresji cało. Bagnet  
wnikał tak samo ochoczo i z jękiem w wą-

tpia, niezależnie od barwy mundury wła-  
ściciela. Tylko to, że czasem „brat przeciw  
bratu”, „brat brata” – żelazem czy kulą,  
robiło jakąś różnicę w umieraniu. A może i  
nie, może tak wydaje się jedynie tym, co  
przeżyli. I chociaż zdarzały się po drodze  
piękne krainy i urocze krajanki, trzeba było  
w końcu kłaść głowę pod skibę. A gdzieś  
tam na stole dymiła waza z rosółem, ktoś  
miał dopisać jeszcze trzy zdania w nie  
wysłanym liście miłosnym, kilku wiaru-  
sów czekało z fajką i kuflem w starej  
gospodzie, na polach rosło zboże z nasienia  
doby pokoju, a było nad rzeką piło z  
nurtów zmaconych. Na świat zdążyło  
przyjść jeszcze trochę dzieci – ostatnie  
pokolenie la belle epoque i pierwsze  
„czasów pogardy”.

Cześć i chwałę przystoi nam oddać panom  
rycerskim!



RYSZARD KORNACKI

### Nokaut

Niesiony gwizdem Wydrwigrosza  
wpadam w poślizg  
przed knajpą  
mojej wiernej samotności.  
Szkłanka ze szklanką  
piją górnolotne toasty  
- niespełnione sny.  
Trzaskają ostro bicze słów,  
które nie mogą  
zamienić się  
w zwyczajne życzenia.  
Także zakąska  
zimnych przekleństw  
staje ością w gardle.  
Teraz można usiąść  
w narożniku  
sali  
i milczeć do rana.  
Gong strzela w głowie.

### Nocna opowieść

Urwał się film, zawirował świat  
i wszystko w życiu się splątało.  
Zegar z kukułką zgubił klucz,  
do serca, które mnie nie chciało.

Nad domem już wygasły światła  
W srebrnej poświacie księżyc stary  
czeka jak Cygan zasłuchany  
w dźwięk tęsknoty i gitary

Zamilkły słowa w perspektywie dali  
szerokich połaci złotej Australii  
Pamięć zamiera w kieliszku i winie  
także tu w Tulczyńce

A tu dopadła cię miłość  
Nie ta, która umknęła  
Nie ta, która już zgasła  
Lecz nowa  
ta co z nieba spadła  
wiosenna jak gwiazda



BEATA T. MAGIER

Kocham mieć. Piękny, luksusowy dom. Żadnej prowizorki - już moja w tym głowa. Każdy szczegół starannie dopracowany. Wszystko pierwszej jakości. Samochód - oczywiście najnowszy model. Najważniejsze, aby nikt takiego nie miał w okolicy. No, może poseł. Ale jeżeli poseł wybrał taki sam wóz jak ja nie ma się czego wstydzić! Może i ja kiedyś będę posełem? Na razie jestem bossem i kocham to.

\*

Nie mogę spać. Jeszcze przed świtem budzi mnie ból żołądka. Od razu w głowie zaczynają krążyć myśli. Pod zamkniętymi powiekami widzę powykrzywiane, zazdrosne twarze. Czasami mam wrażenie, jakby pod moją czaszką krążył rój upartych much, a w żołądku tkwił węzeł. Chcąc nie chcąc, wstaję i zaczynam krążyć po domu. Już nie zasnę, a do rozpoczęcia pracy jeszcze parę godzin.

\*\*

Dom to moja duma. Patrzą, co by tu jeszcze zmienić. Wiem, że takiej kuchni nie ma nikt w okolicy. Podejrzewam, że trudno by było znaleźć gospodynię, która wiedziała by, jak obsłużyć wszystkie znajdujące się tu urzędnienia. Przyznam się, że sam jeszcze nie wszystko rozszyfrowałem. Dzisiaj mam gości i myślę, że będą mieli co podziwiać, bo wszystko wygląda świetnie. Do jedzenia zamówiłem oczywiście sushi. Jest teraz takie modne...

Goście? Sami ludzie na wyższych stanowiskach. Bo znajomości to ja mam. W najwyższych kręgach. A co? Dawnych kolegów nie zaprosiłem, nie pasują. Zresztą nie mogę patrzeć im w oczy, bo widzę tylko zazdrość. Nawet porozmawiać z nimi się nie da. Bo o czym? Cóż oni wiedzą o życiu? Nie zauważyli, że świat poszedł do przodu, a młodzieńcze ideały to można sobie... między bajki włożyć. Ciasnota ich horyzontów jest porażająca. Na przykład

## JESTEM RZECZĄ

ostatnio: zadzwonił jeden i zaproponował wyjazd na koncert. Do Filharmonii. Po co? Ja mam najnowszy sprzęt. A płyty mogę sobie kupić. I to będzie dopiero jakość. Po co gdzieś się wlec samochodem, siadać w niewygodnym krześle? Jeszcze rozumiem, gdyby to było jakieś oficjalne spotkanie z władzami, wypadało się pokazać, ale tak? Albo wymyślili, że będziemy się spotykać przynajmniej raz w miesiącu, aby porozmawiać o książkach, aktualnych wydarzeniach. Kto w dzisiejszych czasach wymyśliłby coś takiego?! Oczywiście, że tylko ktoś, kto sprzętem najnowszej generacji pochwalić się nie może i najwyraźniej się nudzi. Ja mam wspaniały plazmowy telewizor. I kino domowe! A jak świetnie wygląda w salonie, z kominkiem... Na razie nie oglądam, chyba że przyjdą goście, to niech sobie popatrzą.

\*\*\*

Na nic nie mam czasu. Teraz to i tak z górką, bo skończyłem urządzić dom, więc wezmę się



Joanna Bukowska

za firmę. Wszystkiego muszę dopilnować sam, bo wystarczy odwrócić głowę, aby pracownicy wszystko sknociłi. Sam sprawdzam nawet to, czy okna są pozamykane. Potrafią tylko zazdrościć. Patrzą na mnie spod oka i mają jeden cel chcą mnie wygryźć! Nikomu nie ufam! Zdarzyło mi się już kilka razy usłyszeć, jak o mnie mówią. Wściekam się, ale udaję, że nie słyszałem. Mają mnie za imbecyla. Ale im pokażę!

\*\*\*\*

Aha, muszę się upewnić, czy szef przyjedzie na kolację. Może na wszelki wypadek przesłać kwiaty jego żonie? Pewnie pojedziemy z nimi na te wakacje do Bułgarii. Chciałoby wspominać młode lata. Mus to mus. Może powinienem im zasponsorować ten wyjazd? Pomyślę.

\*\*\*\*\*

W końcu budzi się Leopold. Przeciąga leniwie ciało, ziewa i już jest gotowy do

spaceru. Macha ogonem. Tak naprawdę tylko jego wierności jestem pewny. Nie zdradzi żadnej tajemnicy i nie wygryzie mnie ze stanowiska. I pasuje do wszystkiego. Teraz wyjdziemy na spacer: pan i jego pies. Prawda, że wyglądamy bardzo elegancko? Sąsiedzi patrzą na nas z podziwem.

\*\*\*\*\*

Dotykam mebli robionych na zamówienie i gołą stopą staję na dopiero co dostarczonych ze sklepu dywanach. Moje serce wypełnia niepohamowana radość. Stapiam się ze wszystkimi artefaktami mojego domu, stajemy się jednością. Przestaję czuć. Jestem rzeczą.



IGOR SOKOŁOWSKI

Jeszcze śpiewamy, jeszcze tańczymy, jeszcze się całujemy, jeszcze, jeszcze, jeszcze! Aby tylko mocniej, głośniej grało, buch jeb buch, jeszcze coś wlać w siebie, całować kwaśno-gorzkie kieliszki z grymasem, całować się nawzajem z rozanieleniem. Dusi dym, ale serce szybciej bije, chociaż bez sensu, bo kocham ciśnie się na usta, ale nikt nie rozumie co to znaczy, tak jak nikt nie chce zrozumieć tego, bla bla bla, że już nie ma co pić. Każdy bliższy się robi, cmok cmok, lepszym się staję, w tym odurzającym zapachu rozplływają się wady, oraz uprzedzenia. Znikają bariery, bo wszystko się rozmywa, rozmywa, rozmywa coraz bardziej, gubimy ostrość, rozmyło się wszystko i pijemy tą wódkę tak, jakby ó na o zamienić i k skreślić. Dyskusje, poglądy, każdą myśl puszczamy w eter, bla bla bla, a

ona i tak trafia w kosmos, bo każde słowo się mija, mija się z przeznaczeniem i sami siebie słuchamy, przez to już uszy zajęte, przez to innych nie słyszymy. Ale to nie szkodzi, inni też tylko samych siebie słuchają i to tak jakby ogonem się w twarz walić merdając nim, ple ple ple, bo pieprzyśmy bez sensu. Zaraz przewrócił się ktoś, bełkocze inny ktoś, ha ha ha, tamten ktoś z innym ktosiem coś, rzyg rzyg rzyg. I kręci się w głowie, i mdli, i bas wbija się do wnętrza, i znowu kręci, i mdli, i dawaj jeszcze głośniej, i póki stoimy to udajemy, że jest ok. I tańczymy, chociaż i mdli, i kręci to jeszcze pocałuj, jeszcze się przytul i wlej, i wlej, i wlej, numa numa jej, jej piękne czarne oczy...





JOANNA BUKOWSKA

\*\*\*

Nie mówię ci czy w nas wierzę  
bo jak to tak ci powiedzieć  
tak wiele przeżyliśmy osobno  
że aż razem wstyd

jeszcze trumien związanych w kokardę  
brakuje do szczęścia nam

i na tym koniec naszych spotkań  
znów nie wypieś małej czarnej

\*\*\*

Nieprzerwanym głosem  
przerywasz mnie w pół zdania  
na pół rozrywasz  
zniechęcasz do gadania

ty wolisz migdały  
i na migi  
więc mnie drażnisz  
w mig

daję ci ostatnie rozbłyski  
z rozślizgiem wsuwasz się  
między skrawki golizny

\*\*\*

Oglądasz moją głowę  
odciętą przez jedenastolatka  
z wybijałymi kośćmi policzkowymi  
obracasz nią  
jak puszką pandory  
i nie wiesz z której strony jest serce  
a ja tęsknię  
za portkami spranymi przez ojca  
za prądem rzeki  
który mnie poznał z tobą  
i nie wiem  
czy to normalne  
że jako nastolatka  
(ciągle szukam swojej skroni)  
nigdy nie pójde do dyskoteki

\*\*\*

Kto jest bez winy  
niech pierwszy rzuci kamień  
ćwierć twarzy fiolet zaleje  
później to się już tylko grzecznie powiesze  
bo tak wypada  
gdy jest nas niewielu  
zanim cmentarz  
zanim grób  
nie zdobiony badyłami mój domek z kart  
ugina się pod ciężarem suchego pancerza  
który zawsze ograniczał moje fascynacje do  
lekkiej atletyki

spadam w dół  
odświeżnie ubrana

kto scala mi z rąk kubek zimnej wody